

– Jesteś idiotką, Zuzanno! – zawołała tak głośno, że pies, pracowicie wylizujący świecąca pustkami miskę, dał nura w krzaki.

Nie wiadomo, co takiemu stalkerowi może strzelić do głowy – myślała, mieszając czereśnie w garnku przypominającym kocioł czarownicy.

Na szczęście wszystkie okna zaopatrzone były w okiennice, które zamykano, opuszczając Dom, a werandę od reszty Domu dzieliła solidna, kuta krata, którą można było zamknąć na kłódkę.

Za to sypialnia Zuzanny znajdowała się na piętrze... gdzie można było wejść bez trudu, przystawiając do ściany drabinę.

Snując ponure wizje Wikinga stojącego nad jej łóżkiem z toporem (czym innym miałby się posłużyć?) albo zaciskającego palce na jej szyi, Zuzanna spoglądała na syrop ściekający leniwie z łyżki, przypominający sople czarnej krwi.

„Najpierw gwałć, potem rabuj, na końcu pal, nigdy w odwrotnej kolejności”, przypomniła sobie końcówkę opowieści o tym, jak stary wiking pouczał swojego wnuka.

O dziwo – z tego wszystkiego „gwałć” wydało jej się najmniej groźne.

Nie miała czasu na zastanawianie się nad dwiema pozostałymi czynnościami, bowiem przed jej bramą zatrzymał się duży terenowy samochód.

Ki czort? – pomyślała, przesuwając kociołek na skraj blachy.

Podeszła do drzwi i serce stanęło jej w gardle. W stronę schodów długimi krokami zmierzał długowłosej facet z rudą brodą. W ręce trzymał wiecheć polnych kwiatów i oganiał się nim od psa, który nagle wczuł się w rolę stróża obejścia.

– *Susana!* – ryknął Wiking tak głośno, że pies zamilkł.

To nie dzieje się naprawdę – pomyślała. – Gdzieś powinna być wiatrówka dziadka – myślała gorączkowo. Ale na jakiegokolwiek działania obronne było chyba za późno. Zresztą... mordować kogoś w niedzielne przedpołudnie? We wszystkich filmach grozy odbywało się to w nocy, i na dodatek przy pasudnej pogodzie.

Zerwała z siebie fartuch klejący się od syropu i otworzyła drzwi.

Cały irracjonalny lęk przysł na widok jego szczerego uśmiechu. Nie zmienił się nic a nic... No, może przybyło mu zmarszczek.

Podobnie jak mnie – pomyślała.

Przywitali się jak starzy przyjaciele i choć wszystkie angielskie słówka mieszały się jej w głowie, zrozumiała, że przyjechał do Polski na spotkanie ekologów i przy tej okazji postanowił odnaleźć starą znajomą.

Przysunęła do stołu najbardziej solidne z krzesel, podczas gdy gość zainteresował się zawartością kociołka.

W tej sytuacji wyjęła z kredensu chałkę i położyła ją na talerzu. Wiking bezceremonialnie nałożył sobie cały spodeczek jeszcze gorących owoców i zabrał się za konsumpcję.

Mężczyzna w domu – pomyślała Zuzanna.

W jej głowie powoli porządkowały się podstawowe czasowniki angielskie i najprostsze zdania.

Między jednym a drugim spodeczkiem czereśni Wiking poinformował ją, że został zaproszony przez grupę ekologów z K. I wtedy przypomniał sobie o istnieniu Zuzanny, która – dawno, dawno temu w jakimś idiotycznym porywie dała mu swój numer telefonu.

– Niesamowite – bąknęła Zuzanna, zupełnie nie zdając sobie sprawy ze znaczenia słowa „*awesome*”.

Językowa panika mijala powoli i po chwili doszła do wniosku, że nie jest tak źle, jak to sobie wyobrażała. Nadto, dla Wikinga język angielski był również językiem obcym. Chociaż używał go częściej niż ona.

Wiking, prócz tego, że ratował foki i wieloryby, interesował się nocnymi ptakami. A przynajmniej tak wynikało z jego wypowiedzi.

– Mam sowy. Ogród – powiedziała i natychmiast pożałowała, że nie ugryzła się w język, bowiem niespodziewany gość wyraził chęć posłuchania ich głosów. A oznaczało to, ni mniej, ni więcej, że zostanie do północy. – Dom jest duży – skonstataowała.

– Piękny – zachwycił się, kiedy oprowadzała go po pokojach. – I stary. Sto lat – powtórzył. – To kawał czasu. *Really*.

Przy akompaniamencie warczenia i szczekania dobiegającego z krzaków, Wiking wyciągnął z samochodu plecak i dwie torby.

– Ładny pies – zauważył, wchodząc do Domu (...jak do siebie – pomyślała Zuzanna).

– Ładny – przytaknęła.

Zacząła szukać odpowiednich słów, aby przybliżyć mu historię psa, który *de facto* nie był jej psem, choć nagle i nie wiadomo dlaczego zaczął się w ten sposób zachowywać, ale Wiking, zdaje się, nie był tym zainteresowany. Pochłonęło go wypakowywanie z torby jakichś skomplikowanych urządzeń.

– W ogrodzie? Te sowy? – upewnił się.

Z zażenowaniem stwierdziła, iż gość dostosowuje język do jej możliwości.

– Tak – odpowiedziała. – Te sowy w tym ogrodzie.

Jasna cholera. Zamiast marnować czas na zupełnie nieważne rzeczy, mogła się zabrać za angielski. Ale – w sumie – skąd mogła wiedzieć, że pewnego dnia będzie jej naprawdę potrzebny?

Na domiar złego uświadomiła sobie, że będzie musiała zrobić coś z psem. Nie mógł przecież rezydować w krzakach, pobrzękując łańcuchem jak potępieniec. Jeśli będzie dostawać jedzenie, z pewnością któregoś dnia dojdzie do wniosku, że jest mu tutaj dobrze. Niewątpliwie był inteligentny.

Wiking montował sprzęt, którego było stanowczo za dużo, a Zuzanna nie mogła pozbyć się wrażenia, że czas nagle przyspieszył. Jeszcze dwa dni temu wszystko było zwyczajne, przewidywalne.

– Obiad – rzuciła w przestrzeń.

– Restauracja? – zapytał.

Zauważyła, że związał sobie brodę kawałkiem rzemyka i wyobraziła sobie ich wizytę w Karczmie u Piotra, jedynej w miarę dobrej restauracji w pobliżu. Jeszcze nikt nigdy nie dał tu tylu tematów do plotek. Wieś, trwając w błogim lenistwie, tylko czekała na nawet najmniejszą sensację.

Lenistwo – to było słowo, które w odniesieniu do L. pojawiło się w jej języku przed kilkoma laty, kiedy gospodarze przestali się zajmować uprawą, skwapliwie korzystając z unijnych dotacji na *dolce far niente*.

Z dzieciństwa pamiętała upalne lipcowe południa, kiedy w sadzie brzęczały pszczoły, a z pól dobiegało dalekie pobrzękiwanie kos. Lato pachniało sianem, kurzem z wialni, a jesień – paloną kartofliną.

Inny czas, inny zapach – pomyślała.

Lenistwo w L. pachniało piwem i grillowanymi schaboszczakami, a zamiast odgłosów natury otwarte okna opiewały miłość w Zakopanem. Ta piosenka za każdym razem wywoływała w Zuzannie mieszane uczucia. Bo o ile Zakopane znajdowało się stosunkowo blisko (z okna w sypialni widać było Tatry), o tyle miłość...

Zuzanna westchnęła.

Chyba zapomniała o tym cudownym uczuciu – o tej chmurze motyli wirującej gdzieś w środku, trzepoczącej skrzydłami. A ostatnie kwiaty... trzymała w ręce na pogrzebie matki. Tak przedstawiało się jej życie uczuciowe.

Poniżej dna – pomyślała bezlitośnie. A przecież wyglądała o wiele lepiej niż większość jej koleżanek – zachowała szczupłą figurę bez diety cud, zumby i tabletek hamujących łaknienie. Zmarszczki uważała za rzecz całkiem naturalną, a siwe włosy pokrywała – z lepszym bądź gorszym rezultatem – farbą.

Jej rozmyślania przerwał radosny pisk psa. Przybłęda leżał na plecach, a pochylony nad nim Wiking drapał go po ubłoconym brzuchu.

– Czemu łańcuch? – zapytał z wyrzutem, kiedy wyszła na schody. – Dobra dziewczynka. Na łańcuch nie. Brzydko.

– łańcuch nie ja – odparła Zuzanna.

Wiking pokiwał głową, wyjął z kieszeni jakieś skomplikowane narzędzie i pochylił się nad psem.

Po chwili Zuzanna usłyszała jedno ze słów, jakie zdążyła zapamiętać z czasu swojego pobytu w Szwecji.

– *Jävla!*

Chwilę majstrował przy łańcuchu, aż na koniec wstał i klasnął.

Pies zapiszczał radośnie i zerwawszy się z ziemi, zaczął biegać po ogrodzie, szorując brzuchem po trawie i wywijając zgrabne ósemki.

– Wolność – powiedział Wiking, z obrzydzeniem rzucając w pokrzywy fragment krowiego łańcucha. – łańcuch więzienie.

– Przyszedł za mną. Głodny. – Zuzanna wzniosła się na lingwistyczne wyżyny. – Ma jeść. Ale dotknąć dopiero ty.

– To ona – Wiking pogłaskał brudne stworzenie, które wywaliło się na grzbiet tuż obok jego stóp. – Nie ma jajka.

Ja też – pomyślała odruchowo Zuzanna.

A więc jeszcze jedna kobieta. Zakładając najgorszy scenariusz – pewnego dnia urodzi w szopie kolejne pokolenie psów łańcuchowych, takich, co zamarzają przy budach.

– Weterynarz – podsunął Wiking. – *I no problem.*

– *No problem* – przytaknęła Zuzanna.

Wyciągnęła rękę, ale zdradzieckie stworzenie trzymało się w pobliżu Wikinga i nie miało zamiaru podejść do tej, która zapewniała mu jedzenie.

Wróciła do Domu i wyjęła z lodówki kawałek obgotowanej wołowiny.

Dar został przyjęty bez poufałości.

– Cierpliwości – poradził Wiking.

Pokiwała głową i spojrzała na rozłożony na ogrodowym stole sprzęt. Aparaty, kamera, dyktafon. Czyżby miał zamiar użyć tego wszystkiego?

– Sowy – wyjaśnił.

Zuzanna spojrzała w niebo.

Góra Bez Imienia pociemniała, a pnie porastających ją sosen zamieniły się w miedziane szpilki.